



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Józefa Lesiakowska

Na nieludzkiej ziemi

Urodziłam się 27 października 1927 roku na terenach wschodniej Polski. Ojciec – uczestnik wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku, jako osadnik wojskowy zamieszkał wraz z rodziną w Leszniowie pow. Brody w ówczesnym województwie tarnopolskim. Było nas siedmioro rodzeństwa. Trzy najmłodsze siostry przysły na świat już w nowym miejscu zamieszkania. Prowadziliśmy normalny, wiejski tryb życia. Ja chodziłam do szkoły i pomagałam rodzicom w gospodarstwie. Rodzice uprawiali ziemię, hodowali bydło, trzodę i drób, które sprzedawali za niskie ceny. Najważniejszymi placówkami w naszej miejscowości były: klasztor i kościół ojców Bernardynów, cerkiew grecko-katolicka, szkoła, kółko rolnicze, posterunek Policji i młyn.

Kiedy wybuchła II wojna światowa nie miałam jeszcze skończonych 12 lat. Wiele szczegółów z tego okresu i własnych przeżyć pozostało w pamięci i nie zapomnę ich aż do śmierci. Rodzice byli bardzo zaniepokojeni z powodu wybuchu wojny. Zamieszkali na tym terenie Polacy stanowili bowiem wyraźną mniejszość wobec ludności ukraińskiej, podburzanej przez agitatorów domagających się wolnej Ukrainy. Przeżyliśmy w niepewności, ale i z nadzieją na lepsze, do końca 1939 roku. Przychodzili do nas do domu żołnierze, oglądali gospodarstwo, spisywali i wychodzili.

Wigilia Bożego Narodzenia i święta były bardzo smutne. Pamiętam cieknące nieustannie łzy Mamy i jej gorącą modlitwę do Boga, aby nas chronił. Ojciec chodził zamyślony, milczący i niespokojny. Spośród czterech braci tylko Janek był z nami. Pozostali znajdowali się w niewoli niemieckiej lub na terenach zajętych przez Niemców.

Minęły święta Bożego Narodzenia i nadszedł Nowy Rok 1940. Rok nadziei na zakończenie wojny. Stale nękano nas informacjami o rychłym wywiezieniu nas w głąb Związku Radzieckiego na Syberię, gdzie jest rzekomo dużo miejsca dla Polaków. Mama była bardzo pobożna, więc poleciła nas opiece Pana Boga. Utrzymywała ona kontakty z księżmi z klasztoru oo. Bernardynów. W obawie przed bolszewikami księża powierzyli jej do przechowania część naczyń liturgicznych. Pamiętam z jaką troską je przechowywała. Atmosfera niepewności wciąż nam towarzyszyła. Ukraińcy podnosili głowę, śląc nam pogróżki, grożąc śmiercią lub spalaniem zabudowań.

Zima 1940 roku była ostra, spadło dużo śniegu i był silny mróz. Żyliśmy nadzieją, że jakoś przetrwamy do wiosny. Ojciec pocieszał nas, że Anglicy i Francuzi rozgromią Niemców i uwolnią Polskę od Hitlera. Ale czy też uwolnią nasz kraj od Stalina? Istnieją obawy, że tereny te będą chcieli zatrzymać Rosjanie.

Nadszedł wreszcie ten tragiczny dzień, a był nim 10 lutego 1940 roku. Do mieszkania wtargnęli czerwonoarmiści z ukraińskimi pomocnikami. Rozkazali nam, abyśmy niezwłocznie opuścili nasze

gospodarstwo. Mama zemdląła i momentalnie osiwiąła. Popędzając nas, abyśmy wychodzili do przygotowanych sań, nie pozwolili nam nic zabrać, chociaż na taką ewentualność byliśmy przygotowani. „Tam gdzie jedziecie wszystko dostaniecie” – krzykali. Było to oczywiście kłamstwo. Nie zabraliśmy nic do jedzenia, bo nie pozwolili, a sami zaczęli łapać kury i zabierać artykuły żywnościowe. Nie zapomnę ładowania nas na sanie. Nie wiem jak to Mama zrobiła, ale zabrała ze sobą naczynia liturgiczne powierzone jej przez klasztor. Spazmatycznie płakała, modliła się i śpiewała kościelne pieśni. Myśmy też płakały. Rodzice pozostawiali dorobek całego życia – zabudowania gospodarze, dom, bydło, trzodę, kury i zbiory zbóż. Ja żegnałam miejsce moich urodzin, ukwiecone latem łąki, miejsca naszych młodzieńczych zabaw i najmiłsze zakątki.

Pod silną strażą zawieźli nas do szkoły, która stanowiła punkt zborny dla pozostałych Polaków zamieszkałych w okolicy. Budynek obstawiony był przez żołnierzy z karabinami i bagnetami na sztorc. Nikogo stamtąd nie wypuszczano ani nikomu nie pozwolono przyjść do nas, grożąc dołączeniem do wywożonych. Zagrozili zastrzeleniem, jeżeli ktoś będzie chciał uciekać. Pomimo to udało nam się zdobyć od znajomych trochę chleba, mąki i tłuszczu, co pozwoliło przeżyć tę straszną drogę, która nas czekała. Drogę na Syberię.

Po zwiezieniu do szkoły wszystkich Polaków przygotowano transport do stacji kolejowej. Nie traciliśmy wiary i nadziei. Śpiewaliśmy pieśni kościelne, m.in. „Kto się w opiekę odda Panu swemu”. Bardzo żarliwie śpiewała moja Mama.

Na stacji kolejowej czekały na nas wagony towarowe. Nie wiem po ile osób do nich ładowano. Pamiętam, że było bardzo ciasno. W kącie wagonu była dziura do załatwiania potrzeb fizjologicznych. W czasie podróży bardzo z niej śmierdziało. Podróż odbywała się w strasznych warunkach. Pociąg jechał i przystawał, stał, znów jechał... Było to wszystko przerażające. Cierpieliśmy z powodu zimna. Brak było czegokolwiek ciepłego do jedzenia lub picia. Woda do picia miała rdzawy kolor, dlatego też ludzie po jej wypiciu chorowali. Wagony, którymi jechaliśmy były szczelnie pozamykane i zaplombowane. W ostatnim z nich jechała eskorta. Pamiętam, że mijaliśmy Brześć, Mińsk, Smoleńsk. Na bocznicach tych stacji odbywały się dłuższe postoje. Wieziono nas stale na północ. W czasie postojów zabierano zmarłych i układano obok pociągu. Chorym nie udzielano żadnej pomocy medycznej.

Nie pamiętam jak długo trwała podróż. Może dwa lub trzy tygodnie, bo straciłam rachubę czasu. Pewnego mroźnego dnia pociąg się zatrzymał i rozkazano nam wysiadać. Wyglądaliśmy raczej na widma niż na ludzi. Ślanialiśmy się nie mając sił do chodzenia. Skierowano nas do pustych baraków, zupełnie zimnych i nie zabezpieczonych przed mrozem. Była to miejscowość Konosza w obwodzie archangielskim.

Początkowo spaliśmy na ziemi. Nikt nie miał siły czegokolwiek robić. Całe szczęście, że mieliśmy dwóch mężczyzn, którzy w miarę swoich możliwości starali się nas urządzić. Po dwóch dniach Ojciec z bratem musieli iść do pracy przy wyrębie drzew w lesie. Starsza siostra również musiała pracować. Ja wspólnie z młodszą siostrą opiekowałam się chorą Mamą. Musiałyśmy również chodzić do miejscowej szkoły, co nas upoważniało do przydziału 200 gramów chleba dziennie. To miało wystarczyć na nas troje. Dla Mamę przydziału nie było, bo nie pracowała. Nikogo nie obchodziło, że była chora. Ojciec i brat opowiadali nam o strasznych warunkach pracy przy wyrębie lasu. Wszystko wykonywali ręcznie. Była wyznaczona norma. Jeżeli ktoś nie wykonał normy, nie dostawał jedzenia. Robotnicy chorowali, a z braku pożywienia i zimna umierali. Odzieży i butów nie można było kupić ani dostać w czasie roboty w lesie. Chodziliśmy w zimie, jesienią i wczesną wiosną w łachmanach, w łapciach z kory drzew. Pamiętam jakich dokonywała Mama cudów, abyśmy miały co na siebie włożyć. Każda szmata stanowiła wartość nieocenioną. Pracujący w lesie mieli własny sposób na uzupełnienie ubioru. Jeżeli chory robotnik umierał z głodu i wycieńczenia, wtedy pracujący obok niego przyciągał go na swoją stronę i pod pozorem udzielenia pomocy badał czy delikwent jeszcze żyje. Jeśli tak, to próbowano pomóc, a jeśli zmarł, to ściągano z niego ubranie i na śniegu pozostawiano gołe ciało, właściwie szkielet człowieka.

Nędza, głód, choroby – to zjawiska każdego dnia, który był podobny do poprzedniego. Chodziłam nieustannie głodna od rana do wieczora, a w nocy z tego powodu nie mogłam zasnąć.

Żyliśmy na tej przeklętej ziemi przez rok 1940, 1941 i początek 1942. Każda godzina to walka o przetrwanie. Utrzymywała nas przy życiu głęboka wiara i nadzieja na powrót do Polski. Niewiele docierało do nas z tego, co się działo na świecie. Wiedzieliśmy, że Hitler zaatakował ZSRR i posuwa się w kierunku Moskwy. Wiosną 1942 roku poinformowano nas, że jesteśmy z łaski Stalina objęci amnestią i możemy jechać na południe. Radość była ogromna. Dziękowaliśmy Bogu, że nas nie opuścił. Ojcu i bratu marzyło się zaciągnięcie do formującej się w ZSRR Armii Polskiej. Ja z Mamą i siostrą wraz z innymi kobietami miałyśmy jechać na południe do Persji i Indii. Zebrano wszystkich, którzy jeszcze mogli chodzić w miejscowości Szenczuga, załadowano do pociągu towarowego bez jakiegokolwiek wyposażenia i wyruszyliśmy w podróż. I znów głód, brud, wszy, tyfus dziesiątkujący ludzi wyrwanych z przeklętej ziemi. Tak jak w drodze na Syberię, zmarłych usuwano z wagonów układając w czasie postoju przy torach kolejowych lub na wskazanym miejscu.

Rodzinę naszą zaczęła prześladować śmierć. W czasie transportu umarł z głodu i wycieńczenia Ojciec. Następnie brat Janek. Nie mogę zapomnieć, jak prosił mnie przed śmiercią abym dała mu coś do zjedzenia. Nie mogłam spełnić jego prośby, chociaż widziałam, że jest bardzo słaby i wychudzony. Nie było zupełnie nic czym można by się było pożywić. Sama byłam bardzo głodna i trzymałam się życia resztkami sił.

Śmierć Ojca i brata była dla naszej rodziny ogromnym wstrząsem. Straciliśmy mężczyzn, którzy w tej poniewierce byli dla nas tarczą ochronną przed złodziejstwem współuczestników transportu. Byli tacy, którzy z punktu żywienia pobierali porcje przeznaczone dla nas. Groziła nam śmierć głodowa. W czasie postojów zmuszona byłam wychodzić poza stację i żebrać wśród napotkanych ludzi. Trafiali się życzliwi. Jedni dawali kopiejki, inni trochę żywności. Bywało i tak, że pociąg odjechał a ja zostawałam sama. Rozpacz Mamy i siostr. Następnym pociągiem, który jechał za naszym transportem dopędzałam moją rodzinę.

Zbliżaliśmy się do granic Persji z nadzieją na zakończenie jazdy w wagonach śmierdzących trupami i pełnych wszelkiego rodzaju robactwa. Jednak nie było nam dane wspólnie znaleźć się poza ZSRR. Starsza siostra zachorowała na tyfus i razem z Mamą pozostała w Samarkandzie. Mnie z młodszą siostrą dołączono do transportu dzieci wyjeżdżających do Indii. Koleją i samochodami wieziono nas do Aschabadu, później do Mesched, a następnie do polskiego sierocińca w Jamangar w Indiach, prowadzonego przez panie z Polskiego Czerwonego Krzyża.

Indie to kraj piękny, egzotyczny, ale o niezdrowym dla Europejczyka klimacie. Malaria i inne tropikalne choroby bardzo nas nękały. Wszyscy jednak byliśmy bardzo szczęśliwi, że skończył się ten nieludzki czas, nie gryzą nas wszy, możemy się umyć w wodzie, śpimy w czystych łózkach, że jest lekarz pomagający w chorobie, mamy bieliznę, ubrania i buty i jesteśmy wolni. Opiekowały się nami troskliwe panie, które starały się robić wszystko, abyśmy zapomnieli o przeżytych koszmarze. Dzieci były bardzo wychudzone, obolałe. Niekiedy próbowały uciec z sierocińca, aby odnaleźć swoich rodziców. Trudno było im wytłumaczyć, że to nie ma sensu.

Zorganizowanie życia w dużej grupie chłopców i dziewczynek w wieku od czterech do czternastu lat nie było sprawą łatwą. Utworzono polską szkołę z podziałem na klasy, w zależności od wieku. Postawiono kaplicę i sprowadzono księdza. Działały organizacje młodzieżowe, jak Związek Harcerstwa Polskiego i Sodalicja Mariańska. Prowadzono kursy szycia i robótek ręcznych. Byłyśmy przysposabiane do samodzielnego życia.

Nadszedł upragniony koniec wojny. Połączyłyśmy się ze straszą siostrą, która pozostawała w Samarkandzie z powodu zarażenia tyfusem. Dowiedziałam się, że po jej wyzdrowieniu na tyfus zachorowała Mama i za jakiś czas zmarła. Bardzo ją kochałam, więc był to dla mnie ogromny cios. Przeżywałam jednocześnie radość z zakończenia wojny i smutek z powodu straty Ojca, Matki i brata. Zostałyśmy trzy z najmłodszego rodzeństwa. Zastanawiałyśmy się, co się stało z resztą rodziny, czy przeżyli tę okropną wojnę.